

DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

NR. 5. STYCZEŃ 1932. ROK VIII.

DZIŚ I JUTRO PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK VIII. KRAKÓW, STYCZEŃ 1932. NR. 5.



POKŁON TRZECH KRÓLI

Z ewangelji św. Mateusza roz. II znamy historję przybycia Mędrców ze Wschodu, aby pokłon oddali Dziecinie Bożej. Nie wiemy jednak ściśle, ani kto byli Mędrcy, ani kiedy te odwiedziny miały miejsce.

Ostatniej doby badania historyczne każą nam przypuszczać, że to królowie może Etjopji, Tarsu i Saby, trojakich ras ludzkich przedstawiciele, jakoby na świadectwo, ze wszystkiej ziemi narody wezwane są do Jednego Pasterza i jednej owczarni.

Co zaś do daty, to uczeni przychylają się do znacznie późniejszego terminu, przypuszczając, że Dziecię Jezus miało już rok przeszło.

Gwiazda doprowadziła Królów nie do groty świętej, a do domku betlejemskiego, bo czytamy:

„I wszedłszy w dom, znaleźli Dziecię z Marją, Matką Jego i upadłszy pokłonili się Jemu" (Mat. II. 11).

Marja była, jakby tronem Chrystusowym i jakby pełnomocnym kanclerzem dworu Synaczkowego. Ona dawała królewskie posłuchanie pasterzom — Ona przewodniczy hołdowi wielkich tego świata.

Jak rozmawiali Mędrcy z Matką Mesjasza? Czy podobieństwo semickiego języka z hebrajskim ułatwiało sytuację? Czy mieli tłumaczy w orszakach swoich? Czy Marja otrzymała wówczas dar języków — jak Apostołowie w dzień Zesłania Ducha Św.?

Nie wiemy. Kościół katolicki mniema powszechnie, że Pani Niepokalana dała onym Mędrcom, czy Królom pierwsze zasady świętości chrześcijańskiej, że ich uczyniła, jakoby pierwszymi misjonarzami, co w daleczyzny ziem swoich mieli ponieść wieść, o odkupieniu świata.

Władcy złożyli dary: Kadzidło dla Boga, bo to woń świątyń i ołtarzy — złoto Królowi — Myrrhę Ukrzyżowanemu. Ten ostatni symbol może im samym nie był znany, a z natchnienia Ducha św. użyty.

Pomyślmy o tej chwili...

W Bóstwie Dzieciąteczka wydał świadectwo Stwórca potęgą znaków swoich...

Aniołowie, pasterze, proroctwa Symeona i Anny, hołd Monarchów w cudowny sposób przywiedzionych? Czyż nie dosyć, by opuścić zaciszny domek o wzgórze betlejemskie oparty — wynieść Maleństwo i wołać światu:

— Oto niosę wam Króla, Zbawcę, Boga — oto jest Mesjasz przez proroki przepowiadany?

Wokół, stanęliby pastuszkowie z Beit-Saur i Mędrcy z Chaldei, Medji, czy Persji i poczty bogate ich sług i zaufanych — aby potwierdzić prawdziwość słów młodziutkiej niewiasty izraelskiej.

Po ludzku sądząc, byłoby to nawet wskazane.

Ale... Marja posiadała mądrość wlaną rzeczy nadprzyrodzonych. Rozumiała, że jest godzina, której przyspieszać nie wolno. Rozumiała, że Służebnica żadnej woli sama nie podejmuje — więc ani w myśli postało, działać wedle własnych obliczeń, albo na własnych ubezpieczać się siłach.

„Wejrzał na niskość służebnicy swej..." (Magnificat).

Tę niskość służebną wybrałą i zachowa ją, to jedno ufną obejmując myślą:

Bóg ponad nami. Z mądrości Swej czyni...

Sam zasiewa...

I ziarna otula...

I kwiat wywodzi...

I owoc ogrzewa — aby dojrzał.

Marja zachowuje „stosując w sercu swojem" tajemnicę Mądrości, Dobroci, Wszechmocy Bożej na ziemi, na które, jak mówi św. Paweł: „patrzą aniołowie z chciwością".

Marja w ukrytym domku na zboczu betlejemskiem, osłania jeszcze ramionami matczynemi Synaczka Swego.

Wie, że porodziła Tego, Który ją uczynił, jak to powtarzamy w officium.

Wie, że w tem „przedziwnem powinowactwie", On Sam objawi Swój czas — a Ona czekać będzie pokornie.

GUSTAW MORCINEK.

K R Y S I A

(Ciąg dalszy).

Jak to kiedyś było?...

Już wie. Kiedy przyszedł z księdzem proboszczem do umierającej jej matki, już była nieprzytomna. W izbie zastali tylko kilka kobiet, a między niemi gazdów Moroniów. O pogrzeb troszczyli się Moroniowie. To było jakoś z wiosną. Potem wzięli do siebie Krysię. Mówili, że ich prosiła o to umierająca matka. Dobrze, że wzięli. Lecz oni także wzięli i pieniądze. Bo któżby inny je wziął. Moroniowie je wzięli.

Zegar na ścianie zastękał przeciągle i wydzwonił jakąś godzinę. Utonęła w ciszy. Rozleciały się Kożusznikowe myśli.

...proboszcz wezwał do siebie gazdów Moroniów.

Jak to było?

...proboszcz wezwał do siebie gazdów Moroniów.

— Otrzymaliście od umierającej pieniądze?

— Nie otrzymaliśmy, wielebny panie. Nie otrzymaliśmy...

Proboszcz mruży siwe oczy i patrzy raz na Moronia, raz na jego żonę.

— Więc nie otrzymaliście?

— Ni, wielebny panie... — przyświadcza skwapliwie Moroniowa.

— No dobrze... Ale gdzie się podziało tych pięć tysięcy złotych, co matka Kryśki podjęła z Kasy oszczędności?...

— Nie wiemy, wielebny panie!...

— Myśmy nic nie dostali! — przyświadcza powtórnie Moroniowa.

— A dlaczego wzięliście do siebie Kryśkę?

— No, bo my momy dobre serce... było nom żal sieroty... bydzie nom gęsi pasła.

Patrzy ksiądz proboszcz i myśli. Obok stoi Kożusznik i także myśli. Kto wziął pieniądze? A może nie wzięli? A może też wzięli?... Któż ich tam wie...

Kwadratowa plama księżyca zlazła ze ściany i wsparła się kantem o Kożusznikowe źrenice. Przez trzepocące siwe rzęsy posypał się w głąb oczu srebrny pyłek. Odwrócił się Kożusznik i westchnął. Myśli uciekły. Została tylko obecność światła.

— Hm, na polu miesiączek tak jasno świeci!... Też to dzisio musi tam być stomiljoński mróz. Jak też tak jakiego wandrownego znużenie po drodze opadnie... Panie świeć nad jego duszą!...

Kożusznik westchnął nabożnie i powędrował oczyma w światło. Dojrzał małe szybki okienne, powleczone cudacznemi kwiatami.

Cisza była. Tylko stary zegar chrobotał zębatemi kółkami, a z drugiego kąta izby kusztykało śmieszne chrapanie żony.

Nagle wszystko czucie w nim stanęło, zaostrzyło się, wychyliło w oczekiwaniu.

— Ech... zdowało mi się... — chciał pomyśleć.

— Ależ nie!...

Skróś zamkniętych okien wpada w ciszę ostry, cienki, przeciągły psi skowyt. To nie skowyt. To wycie. Kiż djasi?

Kożusznik wytrzeszczył oczy, wytrzeszczył uszy i słucha.

— Kiż djasi?... Wyje bestja, jak najęta... Też mu się zachciało wyć koło domu!..

Wycie nie ustawało. Wibrowało w nagrzanej, sytej ciszy mieszkania, jak ostry, dygocący drut stalowy. Kłuło w stare serce. Zdaleka nadlatywał niepojęty smutek i niepokój jął się kłębić wokół Kożusznika.

— Kiż djasi?... To pies. Ale czyj?...

Przypomniał sobie powiarkę ludową, która mówi, że wycie psa wróży śmierć. Wzdrygnął się, otrząsnął.

Wstał z niechęcią, ubrał się, naciągnął gruby kożuch, na nogi wsunął puszyste pantofle, wymacał w kącie grubą laskę i na palcach wyszedł na dwór. Obskoczył go mróz, ukąsił w ciało boleśnie. Gwiazdy trzepotały się z zimna na ciemnem niebie. Pies już nie wyje. Gdzież się stracił?... A, tam jest?...

— Idziesz ty do domu!... — zawołał groźnie ode progu, grożąc kijem czarnej, psiej postaci, co koło ściany kościelnej bieżała — Idziesz!...

Pies zatrzymał się, usiadł, podniósł pysk i zawył znowu. Teraz poderwał się i bieży do Kożusznika. Kożusznik ułapił mocniej kij w łapę. Patrzy, patrzy... Pies bieży, niespokojny, trwożliwy, podbiega do płotu, skomli, łapami drapie po furtce, znowu skomli, wraca się, bieży, ogląda za siebie, znowu biegnie i skomli.

Cóż u djaska? — myśli Kożusznik. I wciąż patrzy.

Postąpił zaciekawiony do furtki w płocie. Pies uradowany tłucze kudłatym ogonem po bokach, przymila się zdaleka, kładzie pysk między obniżone przednie łapy, skomli, tańczy, znów biegnie i wciąż ogląda się.

— Cóż u djaska? — pomyślał znowu Kożusznik. — Czyżby?...

Otworzył furtkę i wyszedł na ścieżynę, przetartą w głębokim śniegu. Patrzy, pies bieży w kierunku kościoła. Spojrzał za nim, wychylił się.

— Maryjko święto!... Dyć drzwi do kruchty otwarte!...

Czerni się otwór w futrynie. A pies biega koło niego, znowu zawraca, skomli, woła człowieka, krzyczy, doprasza się jego łaski.

Pośpieszył zdziwiony Kożusznik do sieni, zapalił latarnię, poczłapał do kościoła.

— Jezusku święty!... Czyżby złodzieje?...

Pies tańczy przed nim, zkrótka poszczekuje, biegnie przodem, teraz do rozwartych drzwi wpada. Kożusznik stąpa teraz ostrożnie, czujnie, nasłuchujący, czy nie posłyszy z wnętrza złych ludzkich głosów. Kij ściska kurczowo w dygocącej łapie. Tak mocno ściska, aż mu się dłoń poci. Stanął u progu. Cisza! Tylko ten pies cupie łapkami po kamiennej posadzce i wciąż poszczekuje. Jakby się czemś radował czy dziękował.

Kożusznik wszedł do kruchty, przestąpił próg kościoła podniósł latarkę ponad głowę, rozświetlił wokoło. I znowu nic. Tylko ten pies u jego nóg już teraz tarzający się. Teraz zrywa się i biegnie do ławy. Znika w niej i skomli, poszedł za nim Kożusznik, ostrożnie, wyczekujący, niepewny. Schylił się poświecił...

— Maryjo święto!... krzyknął. — Co to?..

Kładzie latarkę na posadce, odsuwa psa skomlącego, wyciąga dłonie, maca...

Maryjko święto!... To dziecko!

Podnosi z trudem mały ludzki tłumoczek, skurczony, omotany w chustkę.



Ciężki. Niesie do światła co się w latarni sączy. Pies tańczy w koło niego. Kożusznik patrzy w osuniętą chustę, zagląda...

— Maryjko święta!... Krysia...

(C. d. n.).

M. CZERKAWSKA.

GWIAŹDZISTA ZIMA

Różowieją śniegi na górach,
w dolinach błękitnieją cienie —
dymy z chałup idą wysoko
ucieleśnionym westchnieniem.

Od przyziemnych ognisk domowych
obłokiem zdążają w powietrze
i wiążą nieuchwytnym sznurem
izby ubogie i przestrzeń.

Pyszne gwiazdy umarłej nocy
okiściami na drzewach błyszczą...
Biała ziemia cicho zakwita
światłością od gwiazd gwiaździstszą.

Nad czapkami wierzb przydrożnych
białe czaple pióra się trzęsą —
chłopom gwiazdy lśnią na kołnierzach,
dzieciom gwiazdeczki na rzęsach.

W WIĘZIENIU

W więziennej izbie panował półcień, choć minęło zaledwie południe. Wprawdzie izba należała do tak zwanych lepszych, dla więźniów politycznych przeznaczonych, jednakże powietrze było w niej zatęchłe, a mury wilgotne. Niewielkie okna, przekreślone wzdłuż i wszerz gęstą plecią kraty, skąpo przepuszczały światło. Za murami jaśniał i złocił się lipcowy dzień, lecz tu o nim nie było wiadomo. Nawet głęboki i gorący szafir nieba, przesączony przez mętne zielonawe szyby stawał się szarym i obojętnym.

To też ks. Norbert Bończyk, proboszcz bytomski, odsiadujący w opolskiem więzieniu dwumiesięczną karę za nieostrożny artykuł, nie spoglądał w okno, zajęcia i skrzepienia szukając raczej wewnątrz siebie, niż w świecie zewnętrznym. Przychodziło mu to dość łatwo. Wprawdzie ruchliwy, czynny, chronicznie zapracowany, robił pozornie wrażenie człowieka, dla którego więzienie byłoby nieznośną katorgą. On sam tak myślał poprzednio. Wbrew tym przypuszczeniom, znosił swoje przymusowe rekolekcje znacznie lepiej od innych. Wypoczywał, szukał samego siebie, rozważał zawiłe problemy życiowe i myślał, myślał dowoli. W swem pracowitem przeciążonem życiu tak mało miewał czasu na myślenie; A już zgoła brakło mu go na zbytkowne i nieużyteczne dumania o sztukach pięknych i poezji, dwu rzeczach, które skrycie, ale gorąco uwielbiał. Obecnie czasu miał dość, natomiast brakło mu książek. Ach, książki; gdyby je posiadał, kara zmieniłaby się w przyjemne wakacje. Nie było co jednak o nich marzyć. Mógł czytać, owszem, ale starannie przez cenzurę dobrane na lekturę dla więźniów książki niemieckie, umoralniające i jałowe, pióra trzeciorzędnych, lecz prawomyślnie nie podejrzanych autorów.

W braku książek, więzień ćwiczył zatem pamięć, przypominając sobie wszystkie poezje, jakie słyszał lub czytał przed laty, w czasach pobytu na uniwersytecie wrocławskim, gdy należał do Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego i przyjaźnił się krótko przelotnie z Asnykiem, również tego towarzystwa członkiem. Ksiądz Bończyk pławił się wówczas do syta w wysokiej atmosferze ducha, książkach i poezji. Uważał te czasy za najpiękniejsze w swem życiu. Niestety, minęły szybko — została szara, twarda, niezmordowana praca na coraz więcej zagrożonym posterunku, zwykła, niewesoła dola górnośląska, cierpkie, zażarte bojowanie o prawo do życia, o chleb powszedni duchowego istnienia. Wszelki Pegaz musiał w tych warunkach złociste skrzydła zwinąć i ciągnąć pług jako prosty fornal. Przypomnieć sobie o wzlotach młodości miał możność chyba tutaj... w więzieniu.

Ks. Bończyk drobny, suchy, czarniawy, chodził z kąta w kąt swej celi założywszy ręce w tył. Myślą łowił słowa, rymy, wiersze, całe strofy, poruszał wargami, szukał, ruszał przed siebie szybciej, przystawał, nareszcie, gdy udało mu się powtórzyć bez błędu cały wiersz, uśmiechał się sam do siebie z zadowoleniem i zażywał tabaki.

Po paru tygodniach więzienia, gdy wierna uprzejma pamięć oddała mu wszystko, co oddać była w stanie, wszystko co się kiedykolwiek na miękkim wosku młodzieńczej wrażliwości utrwaliło, — ogarnęło go nowe, jak sam określał „wakacyjne szaleństwo". Nieprzemożona chęć pisania. Pisywał wprawdzie zawsze dużo artykułów, ulotek propagandowych, — za jedną z nich siedział obecnie na lichym wikcie króla pruskiego, lecz teraz zapragnął czegoś innego: pisania wierszy. Zżymał się na tę zachciankę, drwił sam z siebie bo-

leśnie, upokarzająco, — daremnie. Chęć silniejsza była niż autokrytyka. Znużony walką powoli się rozgrzeszał: cóż to szkodzi? tyle czasu wolnego ma przed sobą... tego, co napisze nie potrzebuje przecież nikomu pokazywać, podrze i koniec.

Przed paru dniami zażądał papieru, pióra i atramentu, by wykoncypować uroczyste powinszowanie dla Rektora Bienka, obchodzącego w sierpniu tegoż 1872 pięćdziesięcioletni jubileusz pracy nauczycielskiej. Był on rektorem w Miechowicach, rodzinnej wsi ks. Bończyka.

W uzyskaniu papieru i piór, władze więzienne nie robiły trudności i teraz widok białych kartek leżących na kulawym stoliku przykuwał do siebie wzrok więźnia. Kusił, pociągał, namawiał. Zniecierpliwiony tem ksiądz starał się zwrócić uwagę gdzieindziej, wywoływał z pamięci ulubione strofy „Pana Tadeusza“, po raz pierwszy — nadaremnie! Oporne, choć tak dobrze znane słowa, usuwały się podstawiając na swe miejsce inne, nowe, jego własne. Machnął dłonią z rezygnacją, pokonany. Usiadł. Wyciągnął wstydliwie papier, płoniąc się sam przed sobą, pisał śpiesznie, ukradkiem, lecz coraz to szybciej, goręcej. Słowa goniły się, pchały, wyrzucał je z siebie jak ciężar dawno dźwigany, w mózgu opracowany, gotowy, płód przenoszony. Ostatkiem rozsądnej samoobrony powtarzał sobie uparcie, że jednak to, co pisze, jest tylko listem do Bienka, listem i niczem więcej...

Listem, który, ostatecznie, może być pisany wierszem...

Gorące wypieki rozpaliły mu policzki, w gardle czuł dziwną suchość, gdy dłoń wyzwolona kreśliła szybko:

...O raju mej młodości, śliczne Miechowice,
Ozdobione zielenią jak wiankiem dziewice,
Tam na górce kościółek z białemi murami,
Otoczony stąd stawem, zowąd ogrodami...

Owe ogrody sąsiedzkie, cel niejednej zakazanej wyprawy, rozweseliły go samem wspomnieniem. Jak żywe stanęły mu w oczach ich głąb cienista, kusząca, i strzegący jej właściciele. Uśmiechając się pisał:

...Ot Ronota, gdzie Klabiś z Pasternakiem mieszka,
Śród ostrężyn i zrębów wiedzie wąska ścieżka
Obok wrzącego Stoku, aże na Łosiny
Do Cębolistów, licznej, pobożnej rodziny.
Odtąd obok słynącej we świecie Szkarotki,
Przeskoczywszy ostrożnie z choiny opłotki
Przyszedłeś na podwórko, gdzie stara Pisarka
Na progu paluszkowym łuska bobru ziarnka.
Otóż jużeśmy we wsi, która już z imienia
Jest dowodem dostatku i dobrego mienia.
Wieś to jedyna w świecie, zwie się Miechowice,
Imię jej przy Szkarotce głoszą dwie tablice.
Jest tam wszystkiego dosyć jak w miechu szerokim,
Więc na nią patrzą inne wsi zazdrosnem okiem
Podszeptując sąsiadkom ze złością w uśmiechu:
Ciasno u Miechowianów i ciemno jak w miechu;

Urwał, odetchnął, odsunął się nieco od stołu, patrząc z ukosa nieufnie na tylko co napisane wiersze. Dodał tu i ówdzie przecinek, poprawił jakieś słowo i przeczytał od początku, powoli półgłosem. Jakież mu się wydały słabe, nieudolne, płaskie; Wzruszył ramionami zniechęcony, gniewny sam na siebie, lecz nie miał siły odłożyć pióra. Nie pokaże tego nigdy nikomu, do Bienka napisze jutro zwykły dorzeczny list, ale tymczasem dokończy:

...O szkoło, ty krynico szczęścia miechowskiego;
W tobie czerpał dziad, pradziad naukę dobrego.
Twoje ławy wycierał Karf i Bobrek cały,
W tobie z bobreckich lasów lyski się łupały,
W tobie, jako z krzemienia ogień ocel budzi
Ćwiczył sławny pan rektor młódź na wielkich ludzi,
Nie dbając na pochlebstwa gnuśnych, ni na jęki
Karanych ciosem ciężkiej, lecz ojcowskiej ręki
— — — — — — — — — — —

Znów przerwał, przeczytał. Zastygł w namyśle z palcami w tabakierce. Wyciągał już rękę, by zmiąć kartkę i rzucić na ziemię, lecz w sercu budziła się nieśmiała nadzieja, że może, przecież, coś w tem pisaniu jest... Jużci dalekie ono jak ziemia od nieba, od Mickiewicza, czy Słowackiego, ale czy wiele gorsze od takiego naprzykład Syrokomli?... Nie umiał tego sam rozstrzygnąć i siedział skulony, wpatrzony tępo w równe rządki liter. Silniej niż kiedykolwiek zatęsknił za jakiemś środowiskiem literackiem polskiem, za życzliwą radą, krytyką, wska-

zówką, lub zachętą. Sam; — cóż wiedział? cóż umiał? A pragnienie pisania, rytmicznego wypowiedzenia się, rozpierało mu piersi.

Ujął znów pióro. W miarę jak opisywał swoją rodzinną wieś, zapominał o dręczącej niepewności. Wartość literacka lub błahość tego co pisał, zeszła na ostatni plan. Pisał coraz szybciej, dla siebie, tylko dla siebie. W oczach stanęło dzieciństwo. Beztroskie, błogie, aż do pamiętnych lat głodu i zarazy, gdy będąc dziesięcioletnim chłopcem, stracił całe rodzeństwo i matkę. Lata szkolne, stara szkoła, rektor Bienek, proboszcz, dobry opiekun, kościół na wzgórzu, w kościele:

Drzwi do chóru, po prawej dzwonów długie liny,
Które chłopców huśtały w wolniejsze godziny,
Jeszcze wschód w górę — tam ogromne belki
Podpierały trzy dzwony, pierwszy zwany Wielki
Odzywał się w niedzielę i dni uroczyste,
Drugi zaś „na pacierze“ zsyłał głosy czyste
Rano, w południe, wieczór, — a trzeci płaczący,
Znaczył smutek, a zwał się „dzwonek konający“.
Na wszystkich był dokoła napis po łacinie
A gdy razem zagrały w miechowskiej nizinie
Myślałbyś, że organy głos swój w niebo wznoszą
To gromią, to żałują, to cieszą, to proszą...
Żadne dzwony nie dzwonią jak w miechowskiej farze
Czy budzą ogień w sercach, czy tłumią w pożarze!

— — — — — — — — —

Odłożył pióro, bo w izbie zmroczyło się na dobre. Zmęczone oczy przestały odróżniać litery. Powstał i chodził na nowo gorączkowym szybkim krokiem. Krew w skroniach pulsowała młotem. Ach, mniejsza o to, czy to jego bazgranie będzie kto czytał kiedykolwiek, mniejsza o sąd literatów! On opisze wszystko, na co patrzył będąc dzieckiem, — wieś i ludzi, ich obyczaje, ich złote serca, ich staroświeckie dziwactwa.

Nie będzie wymyślał żadnej intrygi, żadnych nadzwyczajnych zdarzeń, — opisze poprostu prawdę, powszednią prawdę, codzienny tok zdarzeń dzieciństwa. Będzie to długa, długa opowieść, a tytuł jej da:

Stary kościół miechowski...

Chodził coraz to śpieszniej po pruskiej, więziennej celi, ogarnięty niezaznaną dotychczas rozkoszą tworzenia.

M. CZERKAWSKA

S M U T E K

Jak się pocieszyć po wiośnie,
po słońcu, kwiatach, słowikach —
Tęsknota wzbiera — i rośnie
wichru zimowa muzyka.

Z czołem o szybę opartem
śledzę drzew szare kontury —
Świat dzisiaj ma jedną kartę:
żałobne, ponure chmury.

Cień się pod ścianą wałęsa,
wkrótce o serce zahaczy —
kładzie mi palce na rzęsach —
choć przecież, przecież nie płaczę.

Lecz chcę i bardzo się śpieszę,
bo wicher huczy wciąż głośniej,
coś znaleźć, czemś się pocieszyć
po kwiatach, słońcu, po wiośnie.



ALINA KWIECIŃSKA.

N O W Y   R O K

Trochę żartobliwy obrazek sceniczny.

(Scena urządzona dowolnie. Słychać 12 uderzeń zegaru. Stary Rok zbliża się do drzwi, wchodzi Rok Nowy).

Stary Rok: (gderliwie) Już odchodzę, odchodzę i nigdy nie wrócę... — od tych ludzkich narzekań aż pęka mi głowa. — Przyszedł inny...

Nowy Rok: (wesoło) Blask szczęścia na smutny świat rzucę!

Stary Rok: (jak wyżej) Zobaczymy...

Nowy Rok: (jak wyżej) Rok Nowy i nadzieja nowa! — Żegnaj, biedny staruszku, zabieraj ze sobą — ludzkie łzy i niedole, zawody i żale... Teraz ja tu panuję i życia ozdobą musi radość być, lśniąca w uniesień zapale.

Stary Rok: (j. w.) Terefere, tralala!... Myślałem tak samo... Nie znasz ludzi, więc jesteś jeszcze pewny siebie. Zdaje ci się, że stoisz przed złocistą bramą. Nieraz będziesz obecny na marzeń pogrzebie, często będziesz zmuszony zadawać cierpienia, codzień musisz wysłuchać tysiące skarg ludzi...

Nowy Rok: (przerywa) A przestańże, już dosyć. Idź już. Do widzenia! (Stary Rok macha ręką i wolno wychodzi. Nowy Rok do publiczności).

Nowy Rok: Niech zwątpienie nadziei i uczuć nie studzi! Jestem młody i patrzę wesoło na życie, głowę pełną mam marzeń, a serce – miłości. W górę czoła! Wnet gwiazdę swą szczęścia ujrzycie! (wyciąga ręce) Spójrzcie w przyszłość z ufnością i wielcy i prości!... (chwila ciszy za sceną gwar, okrzyki „Niech żyje Nowy Rok" krasnoludek wynosi na scenę wielki róg obfitości).

Nowy Rok: (j. w.) Zapomnijcie o smutkach, już przepadł Rok Stary... — Upragnione najmilsze wszystkim niosę dary. (wyjmuje z rogu kolejno różne kartki, dokumenty, fotografje). — Oto główna wygrana loterji państwowej, kwit na dobre mieszkanko za czynsz bardzo niski. (dalej ogląda papiery i zawiniątka). — To akt wieczystej zgody — przyjaźni narodów i upadek partyjnych zawiści, prywaty. — Ochrona od kradzieży i od samochodów, to redukcja podatków, literat bogaty. — Widzicie ile dobra rozsiać chcę po świecie. — Czego więcej potrzeba, mówcie czego chcecie?

(w otwartych drzwiach kilka osób imitujących tłum. Zmieszane okrzyki.) Szczęścia! zdrowia! pieniędzy! miłości! nadziei!

Nowy Rok: Cicho! nic nie rozumiem, mówcie po kolei...

Głos 1: Rolnik pragnie pogody, by wczas obsiał pole.

Głos 2: Deszczu, deszczu! kto kupi moje parasole i jedyne na błoto najnowsze kalosze?...

Głos 3: Ja o zdrowie dla całej mej rodziny proszę.

Nowy Rok: Wszystkich zdrowiem obdarzę.

Głos 4: Nie trzeba, nie trzeba! A doktór? Dla doktorów wtedy zabraknie chleba.

Głos 5: Daj, by życie płynęło cicho i bezpiecznie...

Głos 6: Cóż znowu. Katastrofy, wypadki, konieczne!

Głos 5: By żył człowiek poczciwie złości pozbawiony.

Głos 6: Tak? A wtedy co pocznie Kurjerek czerwony?

Głos 7: Daj przeżyć bez pożyczki choć kilka miesięcy.

Głos 8: (z akcentem żydowskim) A mój procent sze pitam? Długów jaknajwięcej!

Głos 9: Niech partje żyją w zgodzie, tak, jak Pan Bóg każe.

Głos 10: Nie będzie o czem pisać, zginą dziennikarze!

Głosy zmięszane: Prohibicji! — Wódeczki! — Chłodnych dni! — Upału! — Zniżki cen! — Wzrostu ceny!

Nowy Rok: (chwyta się za głowę) Oj dostanę szału!... Cicho, cicho, już dosyć! Byłem pewien wiary, ale wobec tych żądań... — Miał rację Rok Stary... Nic ludziom nie dogodzi... — Nie w mojej też mocy — rozproszyć gęste mroki — Żalów wiecznej nocy...

Głosy: Nowy Roku, czekamy!

Nowy Rok: (smutno) Cóż ja pocznę z wami? — Co śmiechem dla jednego, dla drugiego łzami! — Kiedy temu dogodzę, tamten mię przeklina... (wchodzi Nadzieja).

Nadzieja: (pogodnie, jasno, wyraźnie) Optymizm na te smutki to rada jedyna. Kto jeszcze na dnie serca zachował nadzieję. — Mimo zwątpień i żalu często się rozśmieje. — Nie z zewnątrz, ale z siebie — czerpmy radość życia, — iskrę wiary, zapału, dobądźmy z ukrycia.

Nowy Rok: (j. w.) Cóż im dam? Co poradzę? — Miał rację ten Stary...

Nadzieja: (wesoło) Nowy roku, różowe włóż im okulary! — Niech pesymizm na chwilę chociaż się rozchwieje — i blask zorzy niech serca wystygłe ogrzeje!... (podaje olbrzymie okulary z różowej bibuły. Potem wyjmuje szereg małych i rzuca w stronę publiczności, kilkakrotnie powtarzając p. g. melodji za sceną). Rozpogódź się, rozpogódź się- — świat mimo wszystko jest uroczy. — Gdy smutek cię pognębić chce — na dobro miej otwarte oczy. (schodzi do publiczności i zakłada komuś okulary) Tak bardzo jeszcze nie jest źle. Spójrz — jaki jednak świat uroczy. — Niech cię nadziei blask otoczy. Rozpogódź się, rozpogódź się! — (Melodja głośniejsza, żywsze tempo. Na scenę wchodzi kilka osób z „tłumu“ ze śmiechem przyjmują od Nowego Roku okulary i coś sobie na migi pokazują. Po chwili chóralny śpiew powtarza: „Rozpogódź się“ i t. d.) Zasłona.

IGNIS

UŚMIECH ŻYCIA

POWIEŚĆ

Ukochanej Matce poświęcam.

Rozdział I.

— Słuchajcie! Dowiedziałam się od Józi Woźnej...

— Że co, że co? zawołało kilkanaście młodych głosów.

— Całą furę nowin, — ciągnęła Zosia Swięcka, uczennica 8-ej klasy.

— Jeżeli od Zośki — to róbcie odejmowanie na 50%. Ona dowodzi, że ma monopol na najświeższe kawały, a ja mówię, że to wszystko odgrzewane i połowa z jej fantazji wysnuta, dowodziła Henia Miłobudzka, ośmioklasistka, w binoklach i obciętej a la garçonne czuprynie.

— Czy tę ocenę podsunęła ci mi-

łość koleżeńska? figlarnie wtrąciła Lenka Mierzejska.

— Naturalnie: gdzieżby się Lena obyła bez morału! Twoje imię Magdalena domagałoby się przydomka „pokutująca“, a właściwie możnaby dodać „moralizująca“ — odpowiedziała Henia.

— Ha! ha! ha! — Brawo Heńka! Udało ci się!

Cień smutku przemknął po oczach Leny. Już miała na ustach ostrą odpowiedź, ale się opanowała i łagodnie odrzekła:

— Masz rację, Heniu, jestem niewdzięczna względem swej patronki, że nie naśladuję jej w pokucie...

— Prawda! — przecież mogłaś się nazywać Magda — nie Lena — z flegmą zauważyła pulchniutka Marutka Lińska, zwana „pulpetem“.

— Maruta odkryła Amerykę! do jej mózgu wszelkie kojarzenia dochodzą z szybkością „dziadaka“ via Toruń! Stale choruje na otłuszczenie mózgu!

— Żeby tak twój języczek zachorował kiedy na otłuszczenie, to wyszłoby ludzkości na zdrowie.

— Nie byłoby to wcale z korzyścią ludzkości, zwłaszcza naszej klasy, bo ktoby go puszczał w ruch na podpowiadanie...

— Niemądry jest ten twój triumfujący uśmieszek. Podpowiadanie to nie heroizm, ale powszedni chleb uczniowski, nagła pomoc w wypadkach szkolnej niedoli! — Odezwała się Jaśka, siadając na pulpicie katedry z nogami w dół zwieszonemi. Koleżanki lubiły ją, chociaż umiała im dociąć. Humor miała niefrasobliwy, a sposób mówienia i myślenia trzeźwy i logiczny.

— Jak Jaśka wyrąbie, to jakby w granicie, ani dodać, ani ująć... ale gadajże wreszcie, Zośka, coś miała za nowiny. Oznajmiała niesłychane dziwy, a teraz milczy, jakby trzech zliczyć nie umiała...

— Czekam aż się wasza elokwencja wyczerpie, odrzuciła Zosia, spokojnie poprawiając zeszyty. Czy z wami można dojść do ładu? Gadacie głupstwa, sprzeczacie się, — prawdziwe gąski pensjonarskie!

— Moja ty powago! — odezwała się milcząca dotąd Ula. Nie odbieraj Lenie chleba, prawiąc nam morały.

— Czego wy czepiacie się Leny? — stanęła Zosia w obronie przyjaciółki. Gdy potrzeba wstawienia się, pomocy, obrony — wówczas, jak w dym do Leny, a gdy wam niepotrzebna, to z każdej sposobności korzystacie, by jej łatkę przypiąć. Fe! — nie zgadza się to z mojem poczuciem etycznem.

— Cicho, koleżanki, uspokajała Henia. Siadajmy na swoich miejscach, Zosia na katedrze i niech prawi.

— Ustępuję ci tronu — i kłaniam uniżenie, rzuciła Jaśka, zeskakując z katedry z komicznym dygiem w stronę Zosi. Ta z powagą zasiadła, ale pełne ognia oczy, skrzyły się powstrzymywaną wesołością.

— Z wysokości tego tronu, z którego sypią się wyroki łaski lub potępienia na nasze mózgi. Wyroki w postaci ... niedostatecznych — często, dostatecznych — najczęściej, a dobrych — najrzadziej, ogłaszam i oznajmiam, nowinę pierwszą: rzecz z punktu widzenia etyczno - społeczno-ekonomicznego pożądana, naukowego-mniej, a uczniowsko-pensjonarskiego, zupełnie godną potępienia. Małżeństwo Rogala ze Smetaną!

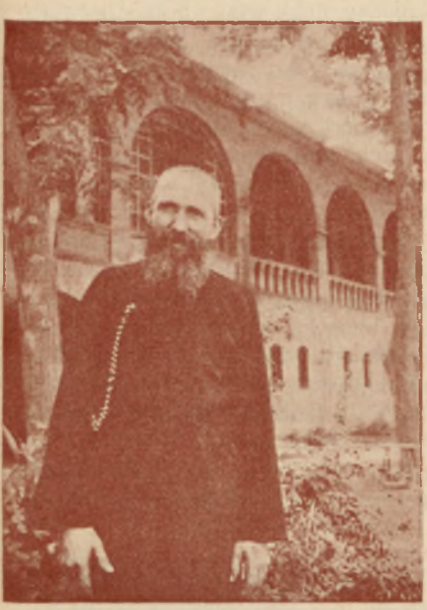
— Zośka, daj spokój! to taka wstrętna, iście pensjonarska wada, przekręcanie nazwisk nauczycieli, — zawołała Lena, zarumieniona od wewnętrznego wzburzenia. — Nie lubię, gdy sobie w tem dogadzasz, Zochno, kończyła z wyrazem prośby w oczach.

Prośba wymowną być musiała, bo pod siłą tego spojrzenia zagrały iskry buntu, jakiemi już rozpalały się oczy zgromionej. Zacięła się chwilę, walcząc z nieznoszącem przymusu usposobieniem, ale w końcu zwyciężyła szczera i dobra, choć nieraz lekkomyślna natura dziewczęcia.

(C. d. n.)

WIADOMOŚCI MISYJNE

3 STYCZEŃ 1932



Brat Fryderyk.

ROLA BRACISZKA ZAKONNEGO W PRACY MISYJNEJ

Ks. Dr. Szuniewicz, który od roku pracuje jako lekarz na placówce misyjnej polskich Księży Misjonarzy w Shuntehfu, w Chinach północnych, kilkakrotnie zaznajomił czytelników »Misyj Katolickich« i »Roczników Rozkrzewienia Wiary« ze swoją misyjno-medyczną działalnością. Obecnie »Dziś i Jutro« otrzymało od niego wieści z pól misyjnych. Ks. Dr. Szuniewicz dowodzi, że i Braciszek zakonny przez gorące serce i odpowiednie przygotowanie do niesienia pomocy biednym i chorym poganom, potrafi zdobywać ich dusze dla Chrystusa nie gorzej od kapłana.

. . . »Pierwsza moja wizyta lekarska w Jutungu u chorego ks. Superjora tamtejszej gminy chrześcijańskiej, nasunęła mi poważne refleksje. Pacjent mój od 25 lat pozostaje na froncie misyjnym w ciągłych rozjazdach, kłopotach pieniężnych, wśród wstrętów i przeciwności ze strony ludności pogańskiej. Praca w takich warunkach wyczerpała go tak, że jest już niezdolny do dalszych wysiłków. A kto go zastąpi? Tak nielicznych mamy żniwiarzy Chrystusowych, że na opuszczone stanowisko nie łatwo będzie znaleźć pracownika, odpowiedniego do spełnienia zadania misyjnego w głuchym zakątku Chin. Ale nie można rozpaczać. Boże to dzieło, Bóg sam wzbudzi nowe powołania i przyśle je tu na nasz front misyjny, że tak będzie, ufam!...

Otóż, podczas tej pierwszej wizyty lekarskiej, spotkałem w rezydencji biskupiej Br. Fryderyka, którego gościnność poznałem po przyjeździe do Chentingfu, teraz zaś po raz drugi miałem sposobność stwierdzić, że gościnność jest stałą zaletą jego serca. Za godzinę ma on wyruszyć do klasztoru Trapistów, który kryje się w lasku o kilka kilometrów od siedziby biskupiej. Pyta mnie więc, czybym nie zechciał mu towarzyszyć? — »Ależ naturalnie — odpowiadam — chętnie odwiedzę tę przystań modlitwy«.

Wśród pogawędki prowadzi mnie przez pola i rowy powojenne do klasztoru. Wszystko u mojego towarzysza podróży jest trochę za długie: i płaszcz odwieczny, nieokreślonej barwy, i siwiejąca broda, i ręce utrudzone w pracy dla bliźniego, i uszy futrzanej czapki, których rzemyki nie znają dotąd węzła, i pas torby podróżnej . . .

Czegóż tam niema w tej torbie? Znajdzie się tam i busola z zegarem słonecznym i bandaż opatrunkowy, i nóż, i jakieś leki, i woda chrzcielna, bo to wszystko przyda mu się w podróży, gdzie nikt nie jest mu obcy, przeciwnie, wszyscy go znają. Zagadnie każdego przechodnia, kupca spyta o powodzenie, starca o zdrowie, z żołnierzem pogawędzi o chińskich lekarstwach, które niesie ze sobą w ośmiu zawiniątkach i z ośmiorakim prze-



...a taką pogodę ma zawsze na twarzy, że każdy zagadnięty mimowoli na przyjazny uśmiech się zdobywa.

pisem użycia, dzieci szkolne rozśmieszy, a taką pogodę ma zawsze na twarzy, że każdy zagadnięty przez niego mimowoli zdobywa się na przyjazny dlań uśmiech.

W Chinach pracuje mój towarzysz już przeszło od 20 lat. Kocha ten kraj nietylko jako misjonarz, ale także jako gospodarz, co trudem swoim uprawił tę ziemię na dalekie kilometry wszerz i wzdłuż. Dawniej sypkie piachy pokrywały pola, nadające się tylko na grzebanie szpitalnych zwłok, których tyle przybywało, że co roku trzeba było cmentarzysko powiększać o dwa morgi. Jeszcze teraz tu i ówdzie wyzierają z pod piachu drewniane trumny. Tajfun zdarł z nich piaszczyste pokrycie, ażeby opodal zbudować z niego długi wał, zmieniających się ciągle wydm. Dziś piaszczysty teren cmentarny zmniejszył się o dwadzieścia kilka morgów, dokoła zaś rosną już wiązy i akacje, przesadzone ze szkółki drzewnej naszego Braciszka. W pracy zadrzewiania tej pustki pomogła dziatwa zakładu świętego Dziecięctwa, pomagali ubodzy włościanie, którzy chętnie, w pobliżu zalesionej przestrzeni, budowali swoje chatki, zakładali pod nadzorem Braciszka plantacje kukurudzy i ogródki warzywne.

Nawet bonzowie sąsiedniego klasztoru znaleźli się w orbicie wpływów naszego Braciszka. Nieraz prowadził on grono młodych bonzów do własnoręcznie zbudowanej groty Niepokalanej, gdzie rzucał ziarno prawdy Chrystusowej w ich umysły i serca. Ze starym bonzą Lo-ho-szan'em, przełożonym wielu klasztorów buddyjskich, żyje niemal po przyjacielsku. Pod jego wpływem poczciwy staruszek złożył większą ofiarę na sierociniec misji katolickiej, i otwarcie zaczął się przyznawać do sympatji dla »religji miłości, miłosierdzia i przebaczenia«. Na starość jednak nie łatwo mu widocznie zmienić poglądy religijne, zwłaszcza, że mogą go nęcić dochody związane ze stanowiskiem najwyższego przełożonego buddyjskiego klasztoru, dość, że obiecuje dopiero na łożu śmierci poprosić o chrzest.

Na progu klasztoru czekał na nas sędziwy O. Przeor, trapista, który wziął z rozrzewnieniem w swe ramiona Br. Fryderyka, wołając: »Toż to nasz dobrodziej! Od chwili gdy zjawili się u nas Księża Misjonarze i stworzyli na nowo zalesionym terenie misyjną osadę, nie przestawał Br. Fryderyk wspierać nas swem ramieniem lub radą. Zna on tu każdy sprzęt klasztorny, do każdej roślinki w ogrodzie umie przemówić po ojcowsku, cieszy się jakby jeden z Trapistów, że klasztor nasz rośnie i zgłaszają się doń coraz to nowe powołania chińskie«.



Bonzowie sąsiedniego klasztoru znaleźli się w orbicie jego wpływów.

Po wizycie w klasztorze zaproponowałem Bratu Fryderykowi, żeby pojechał ze mną do Shuntehfu, by nam udzielić rad i wskazówek przy zakładaniu naszej polskiej placówki misyjnej.

»Kto mnie prosi o tysiąc kroków, — odpowiada mi z uśmiechem Br. Fryderyk — idę z nim drugie dwa tysiące«. Tylko proszę mi wyjednać pozwolenie u moich przełożonych!

Istotnie zabawił u nas dni kilka, udzielając się całem sercem każdemu. Przyjechał w kapeluszu najuboższego kulisa, torby swej i tu nie zapomniał wziąć ze sobą. Podczas drogi nadarzyła mu się sposobność skorzystania z jej zawartości. W pociągu obandażował skaleczonemu chińczykowi nogę, zwracając mu przytem uwagę na ostateczne cele człowieka. Muszę się przyznać, że i mnie prostotą swoją zbudował, bo kiedy wyjeżdżał, przypomniał mi, że wpierw należy się pożegnać z najbliższym Przyjacielem, ukrytym w tabernakulum, a potem z resztą domowników.

Taki Braciszek jest naprawdę perłą każdej stacji misyjnej«.

Shuntehfu, dnia 4/XI 1931. *Ks. Dr. Wacław Szuniewicz.*

Polska Misja w Rodezji Północnej w Afryce

1 Powstanie Polskiej Misji w Północnej Rodezji

W rozwoju katolickiego ruchu misyjnego, w zasługach około szerzenia światła Wiary Chrystusowej mają swój mniejszy, lub znaczniejszy, udział wszystkie nieomal Katolickie narody Europy. Również i polscy misjonarze posiadają tam swą kartę i to piękną — pełną bohaterstwa, poświęceń i trudów, których rezultatem są tysiące nowopozyskanych dla Chrystusa dusz. Rozrzuceni po całej prawie kuli ziemskiej pracowali do ostatnich czasów polscy misjonarze w ukryciu, — wchodząc w skład misyj francuskich, angielskich, portugalskich i innych, zaliczani byli do misyjnych statystyk różnych państw Europy. Społeczeństwo polskie naogół nie wiedziało o ich wysiłkach, a nieomal i o ich istnieniu. Stan taki uznać należy za bezwzględnie szkodliwy, — nie chodzi tu wprawdzie o jakąkolwiek dumę narodową, bo misjonarz to żołnierz jednej i jednolitej armji Chrystusa, która nie zna narodowego szowinizmu, ale praca misyjna na froncie misyjnym wtedy może postępować, jeżeli w tej walce o dusze, stoją silne i zwarte rezerwy tego narodu i społeczeństwa, z którego misjonarz pochodzi. Praca polskich misjonarzy, ich siły i zapał wzrastają, gdy — jak to w swych listach niejednokrotnie donoszą — za nimi stoi zrozumienie i pomoc moralna ich rodaków.

Daleko od Polski, pod skwarnem niebem południowej Afryki, leży angielska kolonja Rodezja, Nad znaczną rzeką Zambezi i jej dopływami rozciągnęły się trawiaste przestrzenie, porosłe lasem pełne wspaniałych okazów tropikalnej fauny i flory. W tem siedlisku lwów, lampartów i wężów, wśród palm i kaktusów wznoszą się krzyże na murowanych kościołach, a w ich wnętrzu gromady czarnych kobiet, mężów i dzieci, śpiewają w niezrozumiałym dla nas języku pieśni na chwałę Boga. Ten kraj to polska misja OO. Jezuitów w Rodezji północnej, nosząca urzędowy tytuł Prefektury Apostolskiej Brokenhill. Krótka a pouczająca jest historja tej pierwszej, wyłącznie polskiej placówki misyjnej. Znać ją winno polskie, katolickie społeczeństwo, by móc należycie ocenić i zrozumieć trud polskich misjonarzy, umieć dopomóc w ich świętej pracy, której niewidzialne — przez Stwórcę liczone zasługi przynoszą pomoc całej Polsce.

Kiedy w połowie XIX wieku angielski uczony Livnigstone „odkrył" Rodezję, okazało się, że kraj ten obfituje w liczne, naturalne bogactwa. W ślad za białymi kolonistami udali się tam angielscy misjonarze protestanccy. Widząc to msgr. Ricard, biskup Wschodniego Kraju Przylądkowego postanawia rozpocząć nad rzeką Zambezi Katolicką pracę misyjną. Już w r. 1879 udaje się na połów dusz, pod wodzą O. Henryka Depelchin T. J. grupa misjonarzy T. J., licząca 11 osób. Dotarłszy do terytorjum dzisiejszego miasta Bulawajo podzielili się na trzy części, jedni udali się na wschód do Mozambiku drudzy pozostali na miejscu, trzeci podążyli na północ do Kraju Barotse, czyli dzisiejszej, północnej Rodezji. Lecz wkrótce opuszczono niegościnny

kraj Barotse. Rozwinęła się zato misja nad dolną Zambezą w Mozambiku. Tam to powstaje w 1881 r. w Kilimane szkoła i konwikt, tam też przybywają i pracują pierwsi polscy misjonarze jezuiccy OO. Gabrjel, Hiller, Hankiewicz, Bulsiewicz i Lazarewicz, Bracia Ostrowski, Kunsztowicz, Żurek, Tomanek i inni. Podzielona następnie na dwa okręgi misyjne Dolnej i Górnej Zambezy misja ta pozostawała do r. 1911 w ręku portugalskich OO. Jezuitów. W tym roku zmiana rządu portugalskiego wywołała zniesienie i wypędzenie z Mozambiku misjonarzy. Uchodząc z terytorjów portugalskich część misjonarzy wyjechała do Brazylji – część zaś przekroczyła granicę angielską, wchodząc na terytorjum Rodezji Północnej. Po raz drugi znaleźli się tutaj misjonarze OO. Jezuitów tym razem już na stałe, dając początek Polskiej Misji w Rodezji Północnej. Na 8-ośmiu pierwszych misjonarzy tej krainy czterech było Polaków — a mianowicie O. Bulsiewicz, O. Lazarewicz, Br. Żurek i Br. Uhlik. Ta pierwsza „kościelna Kolonja Polski" objęła trzy stacje misyjne Kapoche, Katondwe i Kakaro. Już w r. 1913 Stolica Apostolska włączyła nowe stacje misyjne do Prefektury Apostolskiej Górnej Zambezy, poddając je jednak specjalnej opiece polskich Jezuitów. Na przełożonego tej misji przybywa do Katondwe O. Apolonjusz Kraupa. W następnym roku ś. p. Marja Teresa hr. Ledóchowska funduje nową stację misyjną Chingombe, której kierownictwo obejmuje O. Czarliński. Władze zaś kościelne przyłączają do polskiej misji stację Kasisi, będącą dotąd na terytorjum misji angielskich Jezuitów. Niestety z powodu wyjazdu jednego z Ojców musiano zwinąć placówkę w Kakaro. Tak więc wojna światowa zastała 4 stacje misyjne polskich Jezuitów w Rodezji. Mimo kataklizmu wszechświatowego praca polskich misjonarzy postępuje naprzód. Finansowo wspierają polską misję — Polacy zamieszkali w Ameryce, tak, że w czasie wojny buduje się nowe zabudowania murowane w Kapoche i Katondwe, a po wojnie podobnież w Chingombe i Kasisi. Również powstaje nowa placówka misyjna w Mpima, oraz kościółek w Lusako, a z misji angielskiej przyłączono placówkę w Chikuni. Skutkiem tak znacznego rozwoju misji postanowiła Stolica Apostolska zupełnie wyodrębnić Polską misję w Rodezji Północnej i dekretem „Ex pac sublimi" z 14 lipca 1927 podniosła ją do godności niezależnej prefektury Apostolskiej, nadając jej miano Prefektury Apostolskiej Brokenhill – pozostała zaś część misji Zambezy otrzymała miano prefektury Salisbury. Prefektem Apostolskim Brokenhill został O. Bruno Wolnik, który jeszcze w r. 1926 przybył do Chingombe.

Tak przedstawia się historja powstania Polskiej Misji w Północnej Rodezji.

M. P.

Dla biednych polskich dzieci w Charbinie złożyli:

Andzia Höffingerówna 5 zł. – Sodalicja gimn. w Poznaniu 50 zł. S. M. P. w Nawojowej 20,42 zł. Dochód z przedstawienia w Tarnowie 120 zł., Kółko Misyjne w Poznaniu, kilka książek — Dalszy wykaz ofiar – w nast. numerze. — Za wszystkie dary: „Bóg zapłać!"

W Charbinie

dla polskich dzieci brak miejsca

W tym domeczku i ciasno i chłodno, ale wesoło. Wszak Mateczki, jak tylko uzbierają trochę pieniędzy, wynajmą drugi taki domek, a może nawet wybudują ładniejszy i przyjmą do zakładu i te dzieci, które się jeszcze tu dostać nie mogły i muszą chodzić do bolszewickiej szkoły.



W PŁOMIENIACH CEJLONU

O. P. Duchaussois O. M. N.

Bibljoteka misyjna OO. Oblatów M. N. wydała drugą z rzędu książkę O. Piotra Duchaussois O. M. N. na język polski tłumaczoną, p. t. „W płomieniach Cejlonu".*)

O. Piotr Duchaussois jest we Francji zaszczytnie znany na polu literatury i odznaczony przez Akademję francuską. Sam misjonarz — Oblat Marji Niepokalanej, pisze monografje prac misyjnych swego zakonu, wśród pogańskich ludów dalekiej północy i południa.

Idziemy w chwiejbie pióropuszy palm kokosowych, przez piaski żarem słońca roziskrzone.. Dzwonią nam słodkie kantileny spływających krągło spółgłosek Syngaleskich i takt wybijają gradowe, twarde kuleczki tamulskich samogłosek...

Drogę zastępuje dżungla wroga, tchnieniem zgnilizny odwiecznej ziona̢ca. Zwierz dziki krąży — eskadry nietoperzy bezszelestnie przecinają ciemność nocną. Jekkos, wawarony, termity, robaki obrączkowe czyhają na stopy wędrowca...



Dzieci Cejlońskie.

Nie jest to jednak jakaś specyficzna literatura. Jego wszystkie książki czyta się z zapartym tchem jak najbardziej zajmujące powieści. Przedziwne to karty... Można je dać w rękę przyrodnikowi i duszy zakonnej i młodzieży żądnej opowieści, przygód niepospolitych i dziecku, które słuchać będzie czytania, jak czarownej bajki. Lingwista, etnograf i socjolog znajdą echa swoich zamiłowań, historyk z zajęciem zatrzyma się na niejednej stronicy.

Ziemia i ludzie egzotyczni — psychika tajników buddyjskiego bramanizmu — hierarchia kast — zwierzęca pogarda parjasów — swoista szlachetność Tamulów, co są spartańczykami Cejlonu i ateńczyków Syngalesów wiodą nas szlakiem, który poczyna się na 700 lat przed Chrystusem, a kończy u stóp Matki Dziewicy, cudownej Pani, w Madu cuda swe głoszącej.

Cykają świerszcze... Brzask rozwrzeszczany krzykiem pawi, bażantów i papug...

Południowa godzina spada na pierś, jak węgiel rozżarzony, wypija siły, jak wampir i potem zlewa ciało i odzież...

Przedwieczorna rajska godzina... Słodkie światło płowe i złociste... zbliżają się daleczyzny... wiew cichuśki napełnia płuca — szept liści i woń wysiłku kwiecia wszelakiego.

Noc schodzi nagła, rośna z dogłębnych nizin wylewają się opary, miasmaty, gorączki. Dżungla ze snu się budzi, gdy człowiek znużony usypia.

Wszystko tam pełne bestyj krwiożerczych — wszystko kłębi się, pręży, w macki kosmate chwyta, w mroku nieprzebitym wzajem zabija..

Tamaryszki pachnące, drzewa żelazne, heban drogocenny, kamforowięc i halmilla, nedun i welipenna bronią się pnączom, co wytryskują z haszczy.

Ryczą bawoły, lamparty, niedźwiedzie i lwy, a słoń ciężką stopą grzmi na wykrotach drzew

---

*) Pierwszem dziełem tego wydawnictwa była książka O. Piotra Duchaussois: „Wśród lodów polarnych w tłumaczeniu Jadwigi Korzeniowskiej.

olbrzymów, przed wiekami może przez cyklon wyrwanych, a krokodyl z chlupotem gromkim zsuwa się w kałuże.

Wiedzie nas Ojciec Misjonarz przez „śpiące miasta" Cejlonu, gdzie ciżba „świętych" małp wiesza się na głazach księżycowych, na kolumnadach ciekawie rzezanych dagob mocarnych, gdzie czasem 3000 mnichów buddyjskich mieszka w 3000 cel pałacowych. Zaglądamy do „bonzerji", patrzymy na pielgrzymki buddyjskie, w rozsypiskach Anuradhapury śledzimy dzieje kultury indyjskiej, czcimy męczenników katolickich, słuchamy przedziwnej opowieści o przebaczeniu, o zwycięstwie krzyża Chrystusowego — o miłosierdziu Matki Jezusa i naszej.

Przez pola ryżowe, przez gaje bananów, wśród talipotów palm niebosiężnych i wachlarzy drzew podróżnika schodzimy nad morze, aby zanurzyć się w piekle cuchnącem dni pożądliwości połowu pereł. Gehenna zaiste tam w zatoce Mannar „gdzie co dnia inne jest wichrów wianie", gdzie przez kilka godzin, sto razy na kilkadziesiąt sekund rzuca się nurek w głębie fal, gdzie posoka krwi z uszu, nosa i ust zabarwia wodę zazdrosnego morza, gdzie nierzadko rekin pożera, lub ciśnienie słupa płynnego i lodowe zimno zabijają. Gniją mięczaków miljony i miljardy, lęgnie się robactwo, smrodliwość dusi — a pożądliwość ludzka stróżuje i cieszy się rozbłyskiem perły w gnojówce rozkładu...

Tyfus — febra błotna — cholera, dysenterja nie jeden raz wyniszczają tysiące poławiaczy, co z rodzinami tworzą miasta efemerydy, bez osłony od słońca u zenitu stojącego.

Misjonarz jest wszędzie... hartuje się ciało jego, lub ginie. Zdobywa piędź za piędzią i szaniec za szańcem. Zna cenę duszy, cenę perły drogiej.

Jest wszystkiem... Kapłanem i lekarzem budowniczym i drwalem — kupcem i sędzią — artystą i rybakiem i drukarzem.

Częściej głodny, niż syty — częściej bez dachu, w wędrówce, niż w domu w pracy spokojnej — częściej w udręce i chorobie, niż w bezpieczeństwie i zdrowiu.

Siebie samego, bez reszty, wydaje za dusze.

W pocie czoła pożywa kęs cnoty własnej śród ciemnych, dzikich ludów pogańskich.

Wszystko może w Tym, Który go umacnia...

Czytajcie te dzieje na pożytek umysłu, serca i ducha.

Umiłujcie dusze...

S. JÓZEFA od ŚW. M. n. TERESY
III zak. Karm. bos.

Z. ZAKRZEWSKA.

MYŚLI NA CZASIE

Ślizgawka — saneczki — kulig — narty — oto szereg zimowych przyjemności. Energja, zapał do czynu, pełnia fizycznego zdrowia jest udziałem osób, które z tych zdrowych sportów korzystają.

By się o tem przekonać — nie potrzeba długich obserwacyj. Wystarczy wejść niespodzianie w towarzystwo młodych sportsmanek zobaczyć, jak im w tym ruchu jest dobrze.

A jak z nauką? ze spełnianiem szkolnych obowiązków? czy one ucierpią na tem, gdy np. po używaniu sportów w czasie ferji świątecznych zasiądzie się teraz do odrabiania lekcyj? Dobrze wiemy, że umysł orzeźwiony świeżem powietrzem szybko i sprężyście działa.

Zapał do obowiązkowości, do pracy nad sobą jakby nową siłą bywa pobudzony po sportach, użytych w miarę, jako środek a nie cel prawidłowego życia.

Oto są rezultaty okresu zimowych sportów zdrowych, niekosztownych i tężyzny ducha dodających wiele.

A teraz obrazek:

Sala, względnie obszerna posadzka, mimo starannej „froterki" pozostawiająca wiele do życzenia, pod ścianami krzesła tu i ówdzie fotelik — kanapka.

Oświetlenie średnio proporcjonalne, a powietrze zgęszczone... środkiem sali wirują lub posuwają się pary zapamiętałych tancerzy...

„Zastaw się a postaw się“, — więc i bufet urządzony w rogu sąsiedniego pokoju, przekąski, ciastka, słodycze. Kryzys finansowy nie pozwala na wystawne „zaaprowiantowanie“ się. I tak z troską i zgrzytem niejeden ojciec wyciągnął z kieszeni ostatnią piątkę, aby tylko dogodzić rozpieszczonej córeczce i zakupić słodyczy na zabawę taneczną. A czasem i na większą sumę trzeba się zdobyć — może drogą chwilowej pożyczki, na kostjum, na suknię strojną dla wymagającej córki.

Zapraszam do dyskusji — do odpowiedzi na pytanie: które z przedstawionych powyżej rozrywek przedstawiają dla naszych czytelniczek więcej atrakcji? — dlaczego?

Czytałam, że w miasteczku prowincjonalnem X... rodzice wnieśli petycję do odpowiednich czynników o powstrzymanie niezdrowego pędu do kosztownych zabaw tanecznych, rozpowszechnionych tamże wśród młodzieży. Koszta takowych nadwyrężały bowiem równowagę budżetową średnio zamożnych mieszkańców X...

W Krakowie podobno już skasowano jeden bal na rzecz ubogiej ludności. Nie wątpimy, że wiele takich zwycięstw będzie...

Dla łatwiejszego zorjentowania się, który typ rozrywek jest dziś bardziej na czasie, zróbmy jakby przekrój warstw społecznych.

Ujrzymy jaskrawe różnice na tle dzisiejszego kryzysu finansowego.

Obok dostatku, graniczącego czasem ze zbytkiem, widnieje stan przeciętnej zamożności względnie dobrobytu, tuż obok pojawia się warstwa ubóstwa, z którą ludzkość już się zżyła, a zaraz za nią przychodzi duża warstwa skrajnej nędzy, w której pogrążone są tysiące rodzin...

Rzeczą nie chłodnej obserwatorki, lecz istoty o sercu kochającem ludzkość i o wysubtelnionej wrażliwości będzie:

Zapobiegać nędzy przez odmawianie sobie wszystkiego, co jest zbytkiem lub co się doń zbliża.

A więc wniosek nagły na okres zimowy i karnawałowy: „Raczej sporty umiarkowane niż kosztowne taneczne zabawy“.

— To moje zdanie — a wasze?



PYTANIA.

Pytanie 18. Co mnie śmieszy?

Pytanie 19. Co mnie nudzi?

Pytanie 20. Co w życiu koleżeńskiem bierze górę: rozum czy uczucie?

Pytanie 21. Czy można pogodzić pracę społeczną z obowiązkami uczennicy w szkole?

Pytanie 22. Co wolę: pisać wiersze, czy czytać przez innych napisane?

CO WIEDZIEĆ WARTO

NIECO POLITYKI

Znaczenie Polski na terenie stosunków międzynarodowych wzrasta. Dał temu wyraz min. Zaleski w swem »exposé«, jakie złożył w senackiej Komisji spraw zagranicznych, mówiąc o stosunkach naszych z poszczególnemi państwami. Stwierdza to niejednokrotnie i prasa zagraniczna. »**New York Times**« n. p. zalicza Polskę do mocarstw, które w tak ważnej sprawie jak powszechne rozbrojenie mogą mieć głos decydujący. — Wzmaga się jednak i propaganda przeciw Polsce. Tej robocie przeciwstawić się winno całe społeczeństwo — sfery naukowe, literackie, artystyczne, prasowe »ażeby prawda o polskiem państwie, o jego umiłowaniu pokoju, gotowości do współpracy dla dobra międzynarodowego dotarła i stale docierała wszędzie«.

Pakt o nieagresji, czyli przeciwnapastniczy, jaki Sowiety pragną zawrzeć z Francją, zdaniem tejże nie może dojść do skutku zanim podobnego paktu nie zawrą sowiety z Polską. Toczą się więc między Polską a sowietami pertraktacje, które ze względu na zobowiązania sowietów wobec Niemiec, niektórzy po-



110-letni weteran z powstania 1863 r., wraz z wnuczką, Karolcią Wilczyńską, wychowanką polskich SS. Urszulanek w Charbinie.

KORESPONDENCJA Z KOŚCIERZYNY

Z bytności J. E. Ks. Biskupa Okoniewskiego w gimn. N.M.P. Anielskiej



„Nie lgnie fala do niego, ani on do fali" „Oda do młodości", przedstawiona w gimnazjum w Kościerzynie.

Nadszedł niecierpliwie oczekiwany dzień 13-go grudnia. Już od świtu niezwykły ruch panował w Zakładzie, bo też nie byle jaki Gość miał za kilka godzin przestąpić gościnne progi tej naszej „twierdzy naukowej".

Jakoż o godz: 10-tej zawarczał motor lśniącego Buick' a przed gmachem szkoły. Ksiądz Biskup przyjechał z Pelplina.

O godz: 10·30 m. Jego Excellencja celebrował Mszę św: w naszej szkolnej kaplicy, odświętnie przystrojonej. Po nabożeństwie i ciepłem przemówieniu erygował Sodalicję Marjańską.

Po śniadaniu odbyło się w tejże kaplicy uroczyste i oficjalne przyjęcie do Sodalicji Marjańskiej uczennic klasy 8-mej, które jako aspirantki już dawno do niej należały, oraz aspirantek i kandydatek.

Następnie o 2-ej Akademja na cześć Dostojnego Gościa. Na program złożyły się: mowa powitalna — przez koleżankę

litycy nazywają tylko »rozmowami«. Co z nich wyniknie — nie wiadomo. We Francji odżywają wspomnienia dawnego sojuszu z Rosją.

Ogólną uwagę zwraca **wzmagający się wpływ Hitlera**, przywódcy »narodowych socjalistów« w Niemczech. Ciekawa to postać, warto jej się przyjrzeć bliżej. Adolf Hitler pochodzi z Austrji z ubogiej rodziny mieszczańskiej. Dla braku środków materjalnych nie mógł skończyć gimnazjum, więc pracował w Wiedniu jako murarz, malarz pokojowy i rysownik. Marząc o karjerze artystycznej udał się do Monachjum. Do Akad. Sztuk Pięknych jednak się nie dostał, a natomiast po wybuchu wojny w 1914 r. wstąpił do armji niemieckiej, tracąc temsamem przynależność państwową austrjacką. Po czteroletniem pobycie w ogniu walk osiadł w Monachjum i zajął się polityką. Przeciwstawiając się międzynarodowej socjaldemokracji, zorganizował »niemiecką partję robotniczą, noszącą dziś nazwę »narodowych socjalistów« i dążył do obalenia rządów »rewolucjonistów«, tj. tych, którzy przyczynili się do powstania republiki w Niemczech. Osadzony w więzieniu za działalność przeciwrządową, studjował dużo i obmyślał plan dalszego postępowania. Dziś wyraźnie dąży do objęcia władzy czy to przez obalenie rządu Brüninga, czy też, jak sądzą niektórzy, przez »legalne« wejście w skład rządu. Wśród centrowców, partji stojącej około rządu, zwłaszcza wśród reprezentantów wielkiego przemysłu, dają się słyszeć głosy za koalicją z hitlerowcami. Partja Hitlera liczy obecnie 700.000 członków, ugrupowanych w organizacjach wojskowych, policyjnych i tajnych sportowo-wojskowych, dobrze w broń zaopatrzonych. Hitlerowcy są zagorzałymi przeciwnikami traktatu wersalskiego.

Mahatma Gandhi, kierujący narodowo-wolnościowym ruchem Hindusów, pragnąc uzyskać od rządu wielkobrytyjskiego szereg ustępstw, brał udział w t. zw. konferencji »okrągłego stołu« w Londynie. Zbyt daleko idącemi żądaniami wolnościowemi zraził uczestników i, jak sam się wyraził, wrócił do kraju z pustemi rękami. Mimo to witany entuzjastycznie

---

z 5-tej klasy, śpiewy, utwory fortepianowe i deklamacja chóralna wiersza „Pieśń o młodem sercu“ Jana Art. Najpiękniejszą część programu stanowiła uscenizowana pełna wdzięku „Oda do Młodości“ — (deklamacja chóralna w połączeniu z rytmiką, plastyką, śpiewem i akompanjamentem fortepianu). Odpowiednio dobrane kostjumy i światła różnokolorowych reflektorów podnosiły urok tej ślicznej sceny.

Na zakończenie uczenica 8-ej klasy wypowiedziała Legendę o Matce Boskiej, ilustrowaną żywym obrazem, w którym inna uczenica tejże klasy przedstawiała Przeczystą Dziewicę wśród lilij.

Obraz był przecudny. Zdala dochodziły przyciszone głosy chóru, śpiewającego hymn na cześć Marji p. t. „Tota pulchra es“ przy akompanjamencie fisharmonji. Trudno było oczy oderwać od tego obrazu wśród kolorowych świateł, tak przyciągał oczy wyrazem piękna i niewinności. Dostojny Gość w otoczeniu Wiel. Duchowieństwa opuścił salę w podniosłym nastroju.

Po „kawce“, na którą otrzymało zaproszenie całe Grono nauczycielskie Jego Excellencja odjechał, żegnany okrzykami uczenic, pozostawiając w ich sercach niezatartą pamięć tak uroczystego dnia.



„Witaj jutrzenko swobody, za tobą zbawienia słońce!“ — „Oda do młodości“, przedstawiona w gimn. w Kościerzynie.

przeź rodaków, zagrzał ich do dalszej walki z angielskim rządem w Indjach. Walka ta polegać ma na bojkotowaniu transportów morskich i ubezpieczeń angielskich, zahamowaniu eksportu złota i nielegalnem wyrabianiu soli. W parę godzin po wygłoszeniu gorącej odezwy na kongresie hinduskim, Gandhi został aresztowany i osadzony w więzieniu. Komitet wykonawczy kongresu opracował plany działania. Ustanowiono 60 rad, które mają się kolejno zastępować w razie aresztowania. Sytuację zwolenników Gandhiego utrudnia fakt powstania nowej organizacji przeciwrządowej t. zw. »czerwonych koszul«, popieranej przez Moskwę i przez muzułmanów, którzy w razie usamodzielnienia Indyj chcieliby oderwać od nich część północną, zamieszkałą przez większość muzułmańską.



Choć burza huczy w koło nas, nam życie płynie bez troski. Czyż nie śliczne są nasze wzorzyste sukienki? A czuprynki? — To coś prześlicznego takie ogolone główki z drobiną włosów na przodzie! Wszak każdy pozna, że jesteśmy grzecznemi Chiniątkami.

OD REDAKCJI

„**Baśka**" za list bardzo zajmujący — dzięki. Wcale takie sprawy mnie nie nudzą, tylko, rozumiesz, że drukiem na nie odpowiadać nie można. Pociesz się, nie Ty jedna tak piszesz do redakcji — a to są właśnie najmilsze listy. W „Dziś i Jutro" bywa i na nie odpowiedź — choć nie w dziale „od redakcji". Pewno ją nieraz znalazłaś. Za chęć rozpowszechniania naszego pisma — też dzięki! To od Was, Czytelników, zależy, aby „Dziś i Jutro" stało się tygodnikiem.

M. P. — za nadesłany wiersz dziękuję. Przyszedł za późno, więc nie drukujemy. Jak się rozwija „Kółko misyjne"?

Muszka. — „Andrzejki" spóźnione, muszą czekać do listopada. Ale może Szanowna Autorka tymczasem nadeśle.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA

Juljusz Verne: — „**Hector Servadac**" podróż wśród gwiazd i planet układu słonecznego. Spolszczył Włodzimierz Popoliński. Wyd. Książnica Atlas. Lwów 1931.

Wydawn. Zakł. Nar. im. Ossolińskich we Lwowie.

Klemens Brentano: Pierścień Króla Salomona. tłom. Z. Rogoszówna.

Jarecka — Maurin Benigna: „Dziwy i czary mojego dzieciństwa".

A. Gramatyka — Ostrowska: Smyk i Urwis, dziwne przygody wesołej czwórki.

KSIĄŻE REICHSTADTU.

Niezwykły wygląd miał Paryż dnia 15-go sierpnia 1811 r.

Ażurowa brama pałacu Tuilleries gięła się pod naporem tłumu, który napełniał nietylko plac Zgody, ale i pola Elizejskie, aż po Łuk Triumfalny. Po raz sto pierwszy zadrżały okna Luwru od huku armaty, zwiastującej Francji narodziny syna cesarskiego. To przyszedł na świat Napoleon II.

Mały król Rzymski, bo już w kolebce nadano mu ten tytuł, był ślicznem dzieckiem o jasnych włosach, poważnych, czarnych oczach, ale takiem samem dzieckiem, jak miljony innych we Francji. W owym czasie nie miał w sobie nic z Cezara.

Gdy zbladła gwiazda jego wielkiego ojca, a polityką Europejską rządziła Austrja, zawezwał cesarz Franciszek II Marję Luizę wraz z synem na dwór austrjacki. Cesarz gorliwie zajął się wychowaniem wnuka. Niema już teraz cesarstwa, jest tylko królestwo francuskie, z którem on, książe austrjacki nie może mieć nic wspólnego. Król Rzymu zostaje księciem Reichstadtu.

Zabrano mu nawet imię. Tak bardzo lękał się cesarz, aby wielki duch ojca nie ocknął się w synu i żeby Europa, nie dostała się znów pod jarzmo Bonapartych. A przecież w Europie był Franciszek II, był Metternich, był cesarz rosyjski; potężna Anglja, a on miał lat osiemnaście; prócz chęci wskrzeszenia cesarstwa — nic więcej.

Trzymali w klatce orlątko, co lada chwila zmienić się mogło w orła i zerwać do lotu. Dlatego tak ostrożnie pilnowano księcia na dworze. Ale we Francji byli jeszcze ludzie, którzy nie zapomnieli wielkiego cesarza i starzy żołnierze napoleońscy, co nad wszystko w świecie kochali swego „małego kaprala“ i marzyli o tem, żeby znów złote orły zapanowały nad światem. Ci pamiętali, że w Wiedniu, na cesarskim dworze jest orlę złote, które ma skrzydła zwinięte jeszcze i trzeba, by je otwarło.

Pod różnemi postaciami przedostawali się do Wiednia i dzięki nim skrzydła orlęcia otwarły się i zaczęły bić o pręty klatki. Ale pręty były mocne, a orlątko bardzo młode i słabe. W końcu jeden wielki wysiłek — i pręty ustąpiły.

Książę próbuje ucieczki ze znienawidzonego dworu. Pomagają mu przyjaciele i pewnej nocy podczas balu udaje mu się zmylić czujność stróżów. Ucieka, wraz z kilkoma towarzyszami. Na równinie Wagram czeka na konie mające odwieść go do ojczyzny. Jutro będzie cesarzem!*)

Ale książe był tylko orlęciem, a nie orłem...

Oddawna chory był na gruźlicę — teraz gorączka owładnęła nim zupełnie i umysł nie mógł znieść tak wielkiego wrażenia. Wagram! Szereg wizyj ukazuje mu się przed oczyma i cienie poległych z ręki Napoleona wyciągają ku niemu krwawe dłonie. Słyszy ich skargi i jęki. Więc aż tylu zamordował jego ojciec, więc aż tak strasznie cierpią? Więc to jest wielkość, sława, potęga? Więc to jest cesarstwo? Więc on także będzie mordował ludzi? Ach, Boże! Napróżno towarzysze wołają, że czas już uciekać, książe nie może wzroku oderwać od tych wizyj okropnych. I teraz, kiedy od niego tylko zależy, by nazajutrz zostać władcą, on waha się. — A potem zakaszlał i krew popłynęła mu z ust...

Na równinę Wagram przybywa oddział żołnierzy austrjackich.

— — — — — — — — — — — —

Książe umiera. Dobiła go gruźlica. Leży w Schöbrunnie w swoim porcelanowym saloniku, a koło niego cała rodzina cesarska. Przynoszą mu pęki fiołków parmeńskich — on tak lubił fiołki i te czasy, kiedy był jeszcze maleńkim księciem Parmy...

Na kilka minut przed śmiercią prosił, żeby mu przeczytano opis wspaniałej ceremonji chrztu jego. Ale już po kilku zdaniach głowa księcia opadła martwa na poduszki.

Biedne orlątko! Biedne, złamane skrzydła!

— — — — — — — — — — — —

*) Z Rostanda.

Teraz od tych chwil upływa sto lat. Książe Reichstadtu spoczywa w Krypcie Kapucynów, w Wiedniu. Niedobrze musi się czuć złote orlę wśród czarnych orłów Habsburskich. Zapomnieli o nim wszyscy.

Więc dziś, w stuletnią rocznicę jego śmierci pomyślmy o nim choć przez chwilę. Nie o królu Rzymu, nie o księciu Reichstadtu, ale o ślicznem, biednem dziecku, które tak bardzo skrzywdzono.

Kalina Wojciechowska. VII kl. gimn.

R. GERLECKA

ODJAZD POCIĄGU.

Stoi pociąg w mgle siwej wieczoru,
Lokomotywa nabiera tchu w płuca,
Majaczeją sygnały wzdłóż torów,
Zegar równo odjazdu czas skróca.

Nagle gwizdka świst ciemność przecina,
Ktoś latarką zamachał z peronu,
Drgnął różaniec stalowy na szynach,
Ułożony z paciorków wagonów.

Wolno sunąc, ze stacji wyrusza,
Z okna jeszcze ktoś machał i wołał,
Lecz kół stukot słów brzmienie zagłuszał,
Biegną koła i koła i koła.

Z wąskich okien blask złotopłowy
Mignął jasną na tle ciemnem smugą.
Pociąg zniknął w wieczorze zimowym,
Ale słychać go było gdzieś długo.

RYBAK Z HELU.

Po pustych komnatach dworu, długimi wieczorami błąkała się Krystyna. — Jeszcze śnieg leżał na dachach i ulicach, jeszcze wicher mroźny świstał wśród kominów i masztów okrętów, w powietrzu czuć jednak było zbliżającą się wiosnę.

Pewnego wieczoru pod koniec marca dano znać do pałacu, że małe morze odtajało. Była to niechybna zapowiedź wiosny. Jan Beneke kazał sposobić łódź, by skoro świt odbyć doroczną podróż na półwysep Hel. — Równocześnie przybył goniec z południa z listami dla pana i panienki. Kiedy cały pałac był uśpiony, w małej, dziewiczej komnacie siedziała Krystyna zatopiona w marzeniach. Na kolanach leżał list Stefana jej narzeczonego. Więc to jest miłość, o której śpiewają bogate jej towarzyszki i biedne dziewczęta z wybrzeża. Więc zjawił się ten, którego widziała w snach i marzeniach dziewczęcych. Jest piękny, bogaty, posiada tytuł i przyjaźń samego króla. — A to jest dużo. Będzie ślub, goście weselni, potem pojedzie do jego domu daleko, by być szczęśliwą. Odjedzie, by nie zobaczyć więcej tego, co kocha, tych piachów, półwyspu, morza i... Piotra. Dlaczego dziś przyszedł jej na myśl biedny rybak z Helu. Poznała go rok temu podczas święta rybackiego, było to właśnie na wiosnę. Gmina goszcząca jej ojca opowiadała o młodym śmiałku, co sam jeden na łodzi zapuszcza się na wielkie morze. Ojciec chciał go poznać. Stanął przed nim młody chłopak o ciemnej, spalonej wichrami twarzy. Mówił długo z ojcem. Nie widziała go potem aż w lecie na Helu. — Z Trudą, swą opiekunką, mieszkała w białym domku pod lasem. Wieczorem, kiedy słońce ginęło nad lądem, schodziły się rybaczki do domku białego i przędąc lub tkając, oczekiwały przyjazdu mężów i braci. Krystyna czekała również. Tylko nie od strony zatoki, gdzie morze jest błękitne i roześmiane. Ona szukała wzrokiem białego żagla od groźnych, zbałwanionych wód wielkiego morza. I spotrzegła biały żagiel, kiedy łódź dobiła brzegu, wyskakiwał z niej młody Piotr.

Uśmiechem odpowiadał na pochwały mężczyzn na zalotne spojrzenia dziewcząt i odchodził w las, gdzie na wydmie stała jego chata. Krystyna wracała zadumana. Pragnęła mówić z nim, zapytać dokąd płynie, do jakich lądów dobija w czasie samotnych wędrówek. Ale nie wypadało jej, córce pana Beneke, wdawać się w rozmowę z prostym rybakiem. Odjechała więc z Trudą do Gdańska, nie zamieniwszy z nim jednego słowa. Często jednak o nim myślała. Piotr i Stefan. Młody, szalony śmiałek i bogaty rycerz dający jej imię szlacheckie i majątek. Jak są inni. Za kilka tygodni ona zostanie żoną Stefana — spełni wolę ojca, ale przed ślubem musi popłynąć na Hel.

III.

I przyszła zwycięska wiosna a z nią świergot ptaków, zieleń pąków i słońce jeszcze blade i zimne na siwem, północnem niebie.

Krystyna chodziła jak senna, liczyła z utęsknieniem dnie dzielące ją od obiecanej podróży. Nadszedł wreszcie dzień upragniony.

W słoneczne majowe popołudnie przybijała łódź pana Beneke do przystani rybackiej na Helu. Krystyna stała przechylona przez burtę, chłonąc wzrokiem widok, jaki roztaczał się przed jej oczyma.

Jak pięknym wydał się jej Hel ze swemi jasnemi domkami rybackiemi, z czystym, białym piachem nadbrzeżnym, jak piękne zielone, smukłe sosny chwiejące się w ciepłym wietrze od morza. Witały ją stare rybaczki, siwi rybacy, dzieci.

Ona rozdawała rówieśniczkom stare, panieńskie szatki, bursztyny, korale i z smętnym uśmiechem słuchała wiernej Trudy, opowiadającej z dumą o zamążpójściu panienki. — Powoli nadszedł wieczór. — Wielka krwawa tarcza słońca poczęła zatapiać się w spokojnych, kryształowych wodach małego morza. Na brzegu ukazały się łodzie, zaroiło się od kobiet i mężczyzn wyciągających sieci. Na przyzbach chat posiadały stare, podobne do wiedźm niewiasty, u ich stóp igrały jasnowłose maleństwa. W lesie między sosnami począł się czaić nocny mrok. Choć na północno-wschodnim brzegu cyplu rozwieszone sieci rzucały jeszcze ukośne cienie na piach, wielkie morze poczęło niknąć w wieczornej mgle. Z szafirowego zaczęło stawać się zielone, potem liljowo-szare, wreszcie zamarło w nagłej ciszy, w oczekiwaniu na coś, co miało przyjść od srebrnych promieni wschodzącego księżyca od lotnych chmur. Na brzegu kołysała się samotna łódź Piotra. Po wydmuchanym w fałdy piachu szła cicho Krystyna. Doszła do łodzi. Nieśmiało pieściła dłonią ciemne, grube liny, twarde płótna żagle. Jakiś cień zarysował się obok na piasku.

Przy niej stał Piotr. Taki jak roku zeszłego. Smukły, mocarny, dumny. Stali w milczeniu, wreszcie Krystyna podniosła spuszczone powieki i rzekła: „Przybyłam, by pożegnać morze, półwysep, rybaków i by zapytać was...“

— „O co przybyliście, pani, zapytać mnie?“

— „O wasze samotne wędrówki“ — wyrzuca jednym tchem.

Przez spaloną młodzieńczą twarz przebiega szyderczy uśmiech. „Wy, córka dostojnego pana Beneke pytacie o rzemiosło rybackie? Wszak wy się lękacie morza i fal“ — „Ja się morza nie lękam i popłynęłabym z wami nawet do dalekiej Italji“.

„Pojedziecie... ze mną...?“ Jak dziwnie powtórzył te słowa młody rybak. „Pojadę“. Nie odrzekł nic. Łódź zepchnął w morze, żagle rozwinął i zbliżył się do Krystyny.

— „Pójdźcie — obaczymy“ rzekł miękko i spojrzał jej w oczy, ale nie tym hardym wzrokiem, ale innym sięgającym w głąb serca i duszy. — Uniósł ją i posadził w tyle łodzi. Poczęli płynąć. Woda bulgotała pod łodzią, rozpryskiwała się w drobne mieniące się krople. „Pytacie o moje wędrówki? Co mam wam rzec, kiedy nie zrozumiecie mnie, bo nie miłujecie morza i nie ma w was tej tęsknicy, która mnie gna w dal, w świat. — Widziałem daleko stąd na północy leżące kraje. Są tam miasta ogromne, strzeliste wieżyce i baszty, mroczne łuny. Są ciche zatoki, wrzynające się w szare skały — zowią je fiordami, są pola śniegowe, nad któremi w długie noce płonie zorza polarna. Widziałem wiele miast i krajów, lecz pragnę jeszcze jednej rzeczy — przepłynąć szlakami okrętów Hamy na południowe morza. Na to muszę mieć łódź dużą i silną, a takiej łodzi nie da mi nikt — chyba król.“ Wzdrygnęła się nagle Krystyna. On spytał: „Widzieliście kiedy króla“ — „Nie“ odparła bezdźwięcznie „ale niezadługo widzieć i mówić z nim będę“.

Odwrócił nagle oczy od morza, i spojrzał na nią. „Jeżeli prawdą jest co powiadacie, to rzeknijcie królowi, by przybył do nas. Widziałem go raz w Pucku. Dumne to panskie oblicze. Patrzał na morze długo i jakby żałośnie. Powiedzcie tedy królowi, że źle jest, gdy wielki kraj nie ma morza, niech przybywa do nas“.

Nagła chmura zasłoniła księżyc i zerwał się silny wiatr od lądu. Łódź płynęła teraz pochylona silnie. Spokojna powierzchnia wód poczęła się marszczyć, ciszę nocną zakłócił ryk bałwanów idących od pełnego morza. Piotr zwinął jeden z żagli, i usiadł koło Krystyny. „Nie lękajcie — wracamy, sztorm idzie z południa“ — „Nie lękam się“ odparła. Rozgorzałemi oczami patrzała na szalejące fale, pierś jej rozrywała duma i radość. Poczuła swe zgrabiałe z zimna palce w gorących dłoniach jego i nie broniła, gdy ją objął silnem ramieniem i jak najcudniejszej muzyki słuchała jego prostej kaszubskiej mowy. On mówił jej, że właśnie w taką noc morze jest najcudniejsze, że

w ryku fal słychać stare dziś zapomniane i niezrozumiane sagi, że nie ma drugiej takiej, jak ona dziewczyny. Wreszcie schylając się do jej kolan rzekł: „Kiedym was ujrzał pokochałem wasze oczy i warkocze — dziś pokochałem was, całą waszą duszę". — A ona widząc jak wiosłem boryka się z losem rzekła: „Umiłowałam w was siłę i dzielność". — Tymczasem noc uczyniła się czarna i chmurna, olbrzymie bałwany z hukiem rozbijały się o skaczącą łódź. Mgła nie pozwalała dojrzeć brzegu. — Piotr wiosłował zawzięcie i mówił: — „Nie damy się morzu, wrócimy na ląd, wy obaczycie króla, przecie cóm wam rzekł, a wtedy zaczną budować okręty, galery, zaczną przybywać kupcy i będzie to wtedy bogata kraina na zawsze związana z mocarną Polską, nad którą dzierży władzę wielki król". — „A wy"? spytała nieśmiało. „Ja"? „Popłynę do Italji, Hiszpanji, może Arabji, Indji, byle dalej w świat... wy popłyniecie ze mną?" spytał nagle. Radosne słowa uwięzły w gardle Krystyny. — „Król i Stefan — nie możesz bo być" szepnęła. Kurczowo uchwyciła się burty i, patrząc w skłębione masy wód mówiła: — „Umiłowałam was, Piotrze, ale waszą być nie mogę. Nie dlatego, że wy rybak prosty a ja córka magnata, ale dlatego, że trza mi mówić z królem. Galerę mieć będziecie za to ręczę słowem szlacheckiem posła Jego Kr. Mości a... mego przyszłego małżonka".

Piotr stał jak ogłuszony, potem począł kierować do brzegu. Burza szalała ciągle, już nie tylko na morzu ale i na lądzie. W głowie Krystyny kłębiła się jedna potworna myśl. — Nie kocha Stefana a jego żoną być musi. Ląd zaczernił się przed nimi, w milczeniu przybili doń. Chciała mu podziękować, ale podniosła tylko swe źrenice na jego zmartwiałą twarz.

„Umiłowałem was dwoje" rzekł, wskazując na morze — „dziś znowu ono mi tylko pozostało". — Krystyna nie odparła nic, ogarnęła wzrokiem olbrzymie, huczące masy białych pian, spojrzała w źrenicę Piotra i odeszła wolno. Piotr stał długo zapatrzony w ślady jej małych stóp na mokrym piasku, potem zepchnął łódź i odwróciwszy oczy na południe krzyknął. „Nie chcę twej galery wielki królu, cena jej za wielka". — Poniosły go fale w dal na północ, gdzie noce są białe i krwawe od blasków zorzy polarnej. Popłynął, by, jak Krystyna, nie obaczyć więcej ojczystych wydm i sosen Helu, by nie usłyszeć wieczornej modlitwy Bałtyku, w której jest odwieczna tęsknota za mocarną Polską. *M. Naturska.*

ODPOWIEDZI NA PYTANIA Nr. 2—4.

5. Trudno człowiekowi walczyć ze swoją naturą, bo w niej ścierają się dwa krańcowe pierwiastki — Duch i ciało.

6. Świat oparty jest na kłamstwie, lecz prawda oświeca go jak słońce; być może jest jej mniej, ale bezsprzecznie jest potężniejsza. „Baśka".

10. Włosy stają mi dęba, gdy myślę o projekcie matury ze wszystkich przedmiotów. „Kalina".

12. Najwięcej popłaca zdolność „wygadania się". „Buba".

16. Młodzież, gdy uważa się za dorosłych.

17. Ilością zadawanych pytań można mierzyć płytkość ducha, odpowiedziami — jego głębię. „Baśka".

ODPOWIEDZI OD WYDZIAŁU REDAKCYJNEGO „JUTRA".

Maturzystce z Poznania: Projekt dobry, pomyślimy o nim, gdy będzie więcej materjału.

„L". Umieścić nie możemy. Najlepszy pod wzgl. treści — pierwszy. Pozostałe mają temat banalny i formę niewyrobioną. Radzimy jednak nie zniechęcać się i dużo czytać.

„Orchidca". List nas bardzo zadziwił. Prośby spełnić nie możemy.

Do wszystkich Czytelniczek. Bardzo prosimy o nadsyłanie artykułów, ale z podaniem nazwisk autorów. W druku możemy podać pseudonim jeśli kto tego pragnie, ale redakcja znać musi swych współpracowników. — Prosimy o wyrażenie życzeń jakiego rodzaju utwory pragnęłyby Koleżanki widzieć w „Jutrze".

TREŚĆ Nru 4:

Na okładce: Zaślubiny Najśw. Panny Marji ze św. Józefem. Obraz Rafaela. — Uroczystość Zaślubin Najśw. Panny obchodzimy 23 stycznia.

WARUNKI PRENUMERATY:
Prenumerata roczna = 8 zł.
Cena numeru pojedynczego 80 gr.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.
Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11
Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.